

# Piotr Szubarczyk

---

## Gdyńska Penelopa

---

Zeszyty Gdyńskie nr 7, 195-204

---

2012

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Piotr Szubarczyk

## Gdyńska Penelopa

Wiedziałem od dłuższego czasu, że w Gdyni mieszka sędziwa wdowa katyńska, która już dawno ukończyła 100 lat, ale sprawy tak się ułożyły, że nie miałem okazji jej poznać. Aż do sierpnia 2011 r., gdy odwiedziłem Barbarę i Zbigniewa Pytko z Rodziny Katyńskiej. Basia, prezes Gdyńskiej Rodziny, zapytała mnie mimochodem, czy pamiętam o urodzinach pani Zofii Romanowskiej, najstarszej wdowy katyńskiej w Polsce. Tak się zawstydziłem, że na wszelki wypadek odpowiedziałem, że pamiętam... - No bo pani Zofia kończy 11 sierpnia 104 lata - przypomniała mi Basia, a ja aż podskoczyłem na krześle. Zapytałem, czy byłaby szansa na spotkanie. - Mogę cię umówić - odpowiedziała zaskoczona moim entuzjazmem i wzięła do ręki telefon, nastawiając na głośne mówienie. Usłyszałem miły, pogodny głos starszej pani, z bardzo dobrą dykcją. Mówiła szybko, ale starannie. Nie wierzyłem własnym uszom. Byłem na kilku setnych urodzinach, ale jubilaci za każdym razem mieli trudny kontakt z otoczeniem, porozumiewałem się z nimi przez członków rodzin. Kiedy usłyszałem od Basi, że pani Zofia jest, owszem, pod opieką syna Andrzeja, dobiegającego osiemdziesiątki, który wpada raz w tygodniu zapytać, co słychać (!), i że kocha samotne, długie spacerowanie nad morze, że zdumienia o nic więcej już nie pytałem...

### U pani Zofii na kawie

11 sierpnia 2011 r. w kościele Najświętszego Serca Pana Jezusa w Gdyni odprawiana była Msza św. urodzinowa w intencji pani Zofii i jej męża Antoniego Romanowskiego – oficera śledczego Policji Państwowej w Radomiu, absolwenta Wyższej Szkoły Policyjnej i prawa na USB w Wilnie – zamordowanego przez NKWD w 1940 r. w Twerze. Przyszedłem na ostatnią chwilę i szukałem wzrokiem jubilatki. Podczas Komunii św. jako pierwsza podeszła do ołtarza różnym krokiem, niecierpliwym ruchem odsuwając czyjąś rękę spieszącą z pomocą. - Nie lubi, jak się jej ktoś narzuca z pomocą, jest bardzo samodzielna - wyjaśniła mi szeptem znajoma pani... Po Mszy św. pani Zofia przyjmowała w kruchcie kościoła życzenia i kwiaty, potem odpowiadała na pytania dziennikarza TV Trwam (innych mediów nie było...). Otoczona wianuszkami ludzi wpatrzonych w nią z podziwem i upewniających się, że to już naprawdę 104. urodziny... - Pani Zofia zaprasza cię po południu na kawę - powiedziała mi Basia. Poszliśmy tam razem. Urodzinowi goście już wyszli, pozostały piękne kwiaty i uśmiechnięta,

szczęśliwa gospodyni. Nie trzeba być psychologiem, by stwierdzić, że to typ człowieka, który nie znosi samotności, a w otoczeniu bliskich i przyjaciół rozkwita. Nie wiedziałem, jak pytać o notację filmową dla IPN, by nie odmówiła. Obawy okazały się zbędne. Od razu zgodziła się na nagranie w dowolnym terminie. W pewnym momencie pani Zofia poderwała się żwawo z krzesła: - Przepraszam, my tu rozmawiamy, a ja nawet nie zaproponowałam państwu herbaty czy kawy... Basia pospieszyła do kuchni, ale pani Zofia była bardzo stanowcza: - Przepraszam, ale w moim domu tylko ja obsługuję moich gości... Kawa błyskawicznie wjechała na stół, a wraz z nią urodzinowe ciasto. Pani Zofia mówiła do nas, żywo gestykułując, co wprowadziło mnie znowu w zdumienie, bo nijak nie pasowało do stereotypowego wyobrażenia o stulatkach! W pewnym momencie spadła ze stołu na podłogę szarokoperta. Najszybciej jak mogłem odstawiłem filiżankę z kawą i schyliłem się, by ją podnieść. Inneręce byłyby jednak dużo szybsze od moich!

### Jakieś pół godziny...

Po kilku dniach jechałem z kolegą Krzysztofem Drazbą z IPN na umówioną notację do pani Zofii. Upewniał się po drodze kilka razy, że nasza rozmówczyni ma na pewno 104 lata i czy będziemy mogli nagrywać „choć jakiegoś pół godziny”, żeby jej za bardzo nie zmęczyć... A będzie tam jakaś opiekunka? Trzeba było widzieć jego minę, gdy weszliśmy do mieszkania! Pani Zofia powitała nas w nowej, kolorowej sukience, z różową apaszką i z uśmiechem na twarzy. Zanim cokolwiek powiedzieliśmy o nagraniu, zapytała, czy nie lepiej będzie, gdy ona będzie stała przed kamerą, no bo na siedząco to może nie będzie ładnie wyglądało... - I proszę, niech mi pan nie robi zbliżeń – zwróciła się do Krzysztofa – bo mam takie brzydkie zmarszczki... Krzysztof zaniemówił. Zanim ochłonął, usłyszał jeszcze: - Proszę mi w razie czego przerywać, jakbym za dużo mówiła, bo ja lubię mówić... Po tych słowach puściła do Krzysztofa oko: - Jak człowiek słabo słyszy, to woli gadać, niż słuchać innych...

### Nie nadawał się na policjanta

Rozmawiamy o zamordowanym przez NKWD mężu pani Zofii. Antoni Romanowski był przed wojną śledczym Policji Państwowej w Radomiu. Urodził się na Łotwie, w polskiej rodzinie. Do Polski przyjechał jako 17-latek, by bronić Ojczyzny swych rodziców i dziadków przed bolszewikami. Dosłużył się stopnia podporucznika. Potem były studia prawnicze w Wilnie i Wyższa Szkoła Policyjna w Mostach. Kwalifikacje najwyższe z możliwych. Pani Zofia uważa jednak, że nie nadawał się na policjanta: - To był bardzo subtelny i wrażliwy człowiek. Kiedy stawał przed sądem, by oskarżać przestępców, jego mowa z oskarżycielskiej zamieniała się często w obrończą. Wyszukiwał powody, dla których ci przestępcy zeszli na złą drogę. A to trudne dzieciństwo, a to zły wpływ otoczenia, a to bieda. Jego szef nie był z tego zadowolony... Ale ja właśnie za to najbardziej go kochałam. Kiedy patrzę dziś na naszego syna

Andrzeja – emerytowanego już architekta – odnajduję w nim najpiękniejsze cechy ojca: wrażliwość, delikatność, czułość dla bliskich. Czasami budzę się w nocy i zadaję sobie pytanie, czy ja na pewno byłam zamężna, czy to był tylko sen. Pięć lat małżeństwa i 71 lat wdowieństwa!

Wspomnienie tej czułości przywraca mi realne poczucie, że on był i jest w moim życiu i będzie do końca. Jestem jak Penelopa, która czeka na swego Odysa. Do końca...

### Gdzieś na Wschód...

We wrześniu 1939 r. wynajęte autobusy ewakuowały policjantów z Radomia i ich rodziny na Wschód. Organizowała ten wyjazd Rodzina Policyjna. To miało być tylko „na jakiś czas”. Wiadomo, wojnę i tak wygramy... Policjanci jechali za swoimi rodzinami na rowerach. Liczyło się każde miejsce w samochodzie. Dojechali aż do Łucka, gdzie jak grom z jasnego nieba spadła na nich wiadomość o ataku sowieckim na Polskę. Cofnęli się na zachód, dotarli do Włodzimierza Wołyńskiego. Tu Antoni odnalazł Zofię i Andrzejkę. – Pamiętam, że wykradłam i wyrzuciłam rewolwer Antoniego w kartofle, żeby bolszewicy go nie znaleźli. Wiedziałam, że sam by tego nie zrobił, a ja chciałam w ten sposób chronić naszą rodzinę. Wkrótce we Włodzimierzu byli już sowieci. Rozglądali się za jakimś środkiem transportu, by wrócić do Radomia, ale o to było wtedy najtrudniej. W pewnym momencie na ulicy rozpoznał Antoniego jakiś Żyd z Radomia, sowiecki kolaborant, jeden z wielu w tym czasie. Wskazał Antoniego enkawudziście. - To były straszne dni. Zostawałam codziennie trzyletniego Andrzejkę pod opieką obcych ludzi i biegłam pod mur więzienia z nadzieją, że Antoni zostanie zwolniony. Razem ze mną i z innymi kobietami wystawała pod tym murem zrozpaczona żona naczelnika więzienia, który po wejściu Sowietów stał się „wrogiem ludu” i został natychmiast uwięziony. To właśnie od niej dowiedziałam się któregoś dnia, że nie mam już na co czekać. Wszyscy więźniowie zostali załadowani do wagonów i powiezieni gdzieś na wschód.

### Niemcy pomogli, Ukraińcy nie...

Powrót był dla Zofii straszny. Drogi pełne uchodźców i zabitych podczas bombardowań zwierząt. Wszystkie możliwe kwatery pozajmowane. No i ta narastająca, podsycana umiejętnie przez sowieckich „wyzwoliciele od jaśniepanów polskich” nienawiść. Kiedyś dotarła wieczorem do domu zamieszkałego przez ukraińską rodzinę. Stara Ukrainka, widać dobra kobieta, popatrzyła ze współczuciem, ale i ze strachem na zdrożoną Zofię i jej synka: - Jabył was przenocowała, ale jak wrócimójsyn, to was zabije... Szła nocami z dzieckiem. Bała się. W końcu trafiła na życzliwy polski dom, pomogli jej dojechać jakoś do Zamościa. Ale tam też było pełno uciekinierów. Brakowało kwater. Pomogła biedna kobieta, która oddała Zofii i jej synkowi własne łóżko. Z Zamościa do Radomia dojechała niemieckim samochodem ciężarowym. Piwnice – do których wynieśli z mężem swoje najcenniejsze rzeczy – były

doszczętnie ograbione. Wyprzedawała wszystko, co się dało, by utrzymać synka. Serce bolało, ale trzeba było sprzedać także pierścionek zaręczynowy.

### W konspiracji

W końcu radomskie mieszkanie zarekwirowali Niemcy. Zanim to zrobili, Polacy donieśli Zofii, że tak się stanie. Doradzili, by ratowała z domu to, co ma najcenniejszego. Najcenniejszy był dla niej... fortepian, na którym sama grywała, bo znajome dźwięki przypominały szczęśliwe chwile życia. Oddała go na przechowanie tym Polakom z Radomia. Przechowali go pieczołowicie, po wojnie instrument pojechał z nią do Gdyni, rozstała się z nim dopiero kilka lat temu. Gdy już wiedziała, że musi opuścić mieszkanie, doradzili jej, żeby przeniosła się do jednego z opuszczonych mieszkań po Żydach. I tak Niemcy nie pozwolą im tam już wrócić. Dostała klucz od ludzi z przedwojennej Rodziny Policyjnej, która i teraz, w warunkach okupacji, po cichu wspierała rodziny poległych lub zagubionych na wojnie policjantów. Pojechała pod wskazany adres, choć bez przekonania. Weszła do środka. Wyglądało tak, jakby gospodarze wyszli na chwilę z domu. Usiadła na krześle. Wydawało jej się, że jest jeszcze ciepłe. Rozplakała się gorzko, pomyślała o Antonim. Po cichutku, jakby się bała kogoś obudzić, zamknęła drzwi na klucz i nigdy już tam więcej nie wróciła...

### W Warszawie

Wyjechała do rodziny. W Warszawie szukała zajęcia, by utrzymać synka. Andrzejek rósł. Gdy miał 5 lat, potrafił już czytać. Była z niego bardzo dumna. Zofia zaczęła produkować papierosy na sprzedaż. Szybko nauczyła się tej sztuki, poznała różne gatunki tytoniu, nauczyła się je mieszać. Nie miała problemów ze zbytem. Miała wreszcie stałe źródło dochodu. Nawiązała kontakty z Armią Krajową. Dobrze pisała na maszynie i ta umiejętność bardzo się przydała. Przepisywała przez kalkę różne komunikaty i artykuły, roznosiła je na umówione punkty. Kiedyś wiozła teksty do przepisania, a tu w tramwaju szczegółowa kontrola niemiecka, jakby czegoś szukali. Miała w rękawiczce kawałki papieru zapisanego jakimiś komunikatami do przepisania na maszynie. Upuściła tę rękawiczkę na podłogę tramwaju, wciskając papier najgłębiej jak się dało i przydeptując rękawiczkę. W tramwaju było tłoczno. Wszyscy przesuwali się na niemiecką komendę do wyjścia, niektóre osoby bacznie lustrowano i rewidowano. Nagle usłyszała cichy, ale stanowczy głos mężczyzny za plecami: „Niech pani wyrzuci też drugą”... No jasne! Gdyby te kawałki papieru wpadły w ich ręce, poszukałiby właścicielki drugiej rękawiczki...

### Gdzie jesteś, Antoni?

Już w czasie okupacji rozpoczęła poszukiwania męża. Niemieckich komunikatów z 1943 r. o zbrodni w Lesie Katyńskim nie kojarzyła w żaden sposób z Antonim.

Tylko świadomość, że sowieci potrafią zabijać bezbronnych jeńców, budziła lęk i złe przeczucia. Na niemieckiej liście katyńskiej nie było nazwiska Antoniego Romanowskiego, ale tylko dlatego, że zamordowani w Lesie Katyńskim i w smoleńskiej siedzibie NKWD pochodzili z obozu w Kozielsku. Wiedziała już, że Antoni był w Ostaszkowie. Pewnie do niej nieraz pisał, ale jego listy nie dochodziły. Doszedł jednak list do siostry Antoniego na Łotwie. Zawiadamiał, że jest w CCCP (*Rosji*) *żyw i zdrowy*. Prosił, by pamiętała o jego żonie i synku, a jeśli może, by im coś posłała. Ktoś jej opowiedział o jakichś Romanowskich w kopalni w Workucie. Rysopis jednego z nich nawet się zgadzał, ale to był fałszywy trop. Po wojnie, w Gdyni, poszukiwania były jeszcze trudniejsze. Podjęła pracę księgową w urzędzie skarbowym, potem w przedsiębiorstwie Dalmor. Przyjaciele doradzili Zofii, by zapomniała o słowie „policjant”, jeśli nie chce stracić pracy. Narastał sowiecki, ideologiczny terror. Natrętni „personalnicy” i partyjniacy w pracy bardzo byli ciekawi szczegółów z życia każdego pracownika. Zgodnie z partyjnymi instrukcjami „czyścili” swoje zakłady pracy z „elementu obcego klasowo”. Zofia opracowała sobie całą legendę o mężu, co przed wojną pracował w „służbach sanitarnych” i zaginął gdzieś na wojnie. W nazwie jego policyjnego wydziału w Radomiu były rzeczywiście słowa „prewencyjny” i „sanitarny”, więc doszła do wniosku, że w razie czego będzie miała alibi i wymówkę, że nie kłamała... Była tym wszystkim bardzo przybita. We własnym kraju, który podobno wygrał wojnę, nie mogła swobodnie poszukiwać swego męża, który zginął z ręki wroga! Kiedyś jej legenda o mało się nie rozpadła. To był rok 1948 albo 1949. Jeden z tych najgorszych w powojennej Polsce, gdyż – jak głosił uliczny dowcip – „Jest ślisko, bo dwie partie się zwały, a tu mróz”... Na redzie gdyńskiego portu zatonał statek. To był jakiś błąd w sztuce. Zderzył się z innym statkiem. Natychmiast poszedł na dno, zginęło podobno 20 osób. Zofia pod wrażeniem śmierci tych nieszczęsnych ludzi napisała w liście do synka, który był wtedy na południu Polski na koloniach, co się stało. List czytał nie tylko Andrzejek, ale i UB... Całą noc spędziła w siedzibie gdyńskiego UB na Kamiennej Górze. Okazało się, że uprawia „wrogą propagandę”. Przecież żaden statek nie zatonał na redzie... Chyba ze dwadzieścia razy kazali jej recytować własny życiorys. Jakoś wyszła z tego cało, choć w pewnym momencie myślała, że już nie wróci do domu.

### Wierna przysiędze małżeńskiej

Mogła co najmniej trzykrotnie wyjść za mąż. Gdyński Urząd Stanu Cywilnego uznał Antoniego za zmarłego wiele lat przedtem, zanim zobaczyła jego nazwisko w sowieckich dokumentach, na liście wywozowej z Ostaszkowa w *gorod Kalinin* nr 050/1 z kwietnia 1940 r., gdzie figuruje pod numerem 70. Nie chciała jednak słyszeć o zamażpójściu, bo przecież „nie opuszczę cię aż do śmierci”... A ona do roku 1990 nie wierzyła w śmierć Antoniego. Śniła, że wraca. Przez wiele lat nie potrafiła rozmawiać o małżeństwie. Zalewała się łzami. Pytamy, czy była w Miednoje, na cmentarzystku, gdzie pochowany jest Antoni

i inni Polacy zamęczeni w najbardziej mrocznym spośród wszystkich miejsc zbrodni katyńskiej – w piwnicach NKWD Kalinina-Tweru. Jak na ironię, miasto Twer nosiło za sowieckich czasów nazwę Kalinin, jednego z tych, którzy 5 marca 1940 r. powzięli decyzję o zamordowaniu 21.857 polskich oficerów i więźniów politycznych, co dziś nazywamy zbrodnią katyńską.

- W Miednoje nigdy nie byłam. Najpierw był niepokój i lęk przed tym miejscem. I przed bólem. 10 lat temu zdecydowałam się jednak jechać. Zadzwoiła pani reprezentująca organizatorów wyjazdu i zapytała: „Ile pani ma lat? ..? No to ja za panią nie chcę brać odpowiedzialności”... Panią Zofię ta odpowiedź zmartwiła, ale jeszcze bardziej rozśmieszyła. – Proszę panów, ja wtedy lubiłam sobie jeszcze potańczyć, przecież miałam dopiero 94 lata...

### Walc angielski i tango

Takiej okazji nie mogliśmy przegapić. Pytamy o tetańce, a słuchając odpowiedzi pani Zofii, Krzysztof poraz kolejno zaniemówił, starając się tylko jak najdokładniej wszystko nagrać.

- Taniec to była moja radość – mówi pani Zofia i widać, że mówi szczerze, z serca.

- Wygrałam w Warszawie konkurs walca angielskiego. To było chyba w roku 1928... To był mój ukochany taniec. Lubiłam też tango, rumbę, fokstrota, czyli modne tańce, uznawane wówczas przez wielu za „nieprzyzwoite”... W ogóle w mojej rodzinie liczyły się muzyka i taniec. Mój starszy brat Stefan Wasiak (nazwisko rodowe pani Zofii) był przed wojną jednym z dyrektorów Filharmonii Warszawskiej. Po tych słowach nastąpił najzabawniejszy moment spotkania z panią Zofią, która wstaje od stolika i daje taką parodię współczesnego tańca dyskotekowego, że razem z Basią i Krzysztofem trzymamy się za brzuchy ze śmiechu. Pani Zofia niewinnie dodaje, że zna się na rzeczy, bo gdy skończyła setkę, to znajomi zabrali ją na dyskotekę i tam się mogła przekonać, jak można sponiewierać szlachetną sztukę tańca. Bo to jest sztuka i nabyte umiejętności, a nie małpi gaj!

### Potrzebna skrucha

Wracamy do poważnych tematów. Pani Zofia powiada, że modli się za Antoniego każdego dnia. Najpiękniejsze miejsca do modlitwy znalazła w gdyńskim kościele NMP Królowej Polski przy ulicy Armii Krajowej i w gdańskim kościele św. Brygidy, z którego śp. ks. Henryk Jankowski uczynił prawdziwe sanktuarium narodowe. Wybiera się do Warszawy, by zobaczyć tabliczkę pamiątkową Antoniego w katedrze polowej Wojska Polskiego na Długiej. Mówi nam jeszcze, że na zebraniu Rodziny Katyńskiej nie chodzi, bo słabo słyszy... Wybaczamy pani Zofii to drobne kłamstewko... Mówiąc poważniej, pani Zofia ma żal do niektórych osób z Rodziny Katyńskiej, że roztrząsają coś, czego nie godzi się roztrząsać. Gotowi byliby uznać, że zbrodnia katyńska nie była zbrodnią ludobójstwa, by zadowolić Rosjan! To się nie godzi! Barbara Pytko to potwierdza. Stoczyła prawdziwą batalię w Federacji Rodzin Katyńskich,

by solidarnie trzymać się polskiego punktu widzenia na tę ohydłą zbrodnię. To było niewątpliwie ludobójstwo, zgodnie z definicją ludobójstwa przyjętą przez ONZ. Do jakichkolwiek targów wokół tej kwestii, ze względu na bieżące potrzeby polityczne, nikt nie został upoważniony przez „tych, których zdradzono o świecie”. W końcu musiało paść i to pytanie:

- Pani Zofio, czy pani wybaczyła zbrodniarzom, po tylu latach? Odpowiedź była szybka i widać dobrze od dawna przemyślana:

- Jestem chrześcijanką, ale nie przypominam sobie żalu za grzechy któregośkolwiek z tych zbrodniarzy. A żal za grzechy jest warunkiem przebaczenia...

### Łowicki serdaczek

Pytamy o współczesną Polskę i o tę naszą niepodległość po 1990 roku. Czy można ją porównać z odrodzeniem Rzeczypospolitej jesienią 1918 roku? Przecież pani Zofia doskonale to pamięta, była już wtedy dużą dziewczynką! - Takie porównania nie mają sensu – odpowiada pani Zofia z przekonaniem. – Nie myślcie sobie, że to tylko sentyment do czasów młodości. Tamta niepodległość była radosna i prawdziwa, mimo że po I wojnie światowej panowały głód i straszna bieda, do tego różne epidemie, na które umarło dużo ludzi, podobno więcej niż na wojnie! Ale młodzi ludzie traktowali odrodzenie Polski jak swą prywatną sprawę, osobisty sukces. Odczuwali z tego powodu wielką dumę, której dziś nie ma, jest za to dużo goryczy. Wtedy każdy pochód 3-majowy to była okazja do radości i spontanicznej manifestacji. Nie mogliśmy się doczekać. Młodzi ludzie demonstrowali swą polskość przez wyraziste polskie akcenty w stroju. Prześcigaliśmy się w tym! Jeden miał na głowie konfederatkę, drugi jakieś elementy polskiego munduru, a ja założyłam łowicki serdaczek, żeby wyglądać pięknie i po polsku. Mój Boże, gdzie się podziała tamta wiara i tamten entuzjazm? Niestety, komunizm zrobił swoje. Nauczył ludzi niewiary, wyrachowania i cynizmu.

### Płatki owsiane i spacerzy

Przerywamy na chwilę smutne wspomnienia, bo pani Zofia nalewa nam kawy i proponuje kieliszek „koniaku” własnej roboty. – Doktor zalecał mi codziennie odrobinę koniaku, bo mam niskie ciśnienie, ale mnie na to nie stać, więc wymyśliłam sobie własny „koniak”. Dobrze mi robi, byle nie za dużo... Pani Zofia nalewa nam po trochu. Dobrze. I jakiś znajomy smak... No jasne, to smak swojskiego bimbru! Kiedy pytamy o codzienną dietę, pani Zofia śmieje się: - Wiedziałam, że w końcu o to zapytacie, bo wszyscy pytają, jak dożyć 104 lat. Ja nie mam specjalnych tajemnic. Nie miałam też nigdy specjalnego zdrowia. Przez 30 lat męczyłam się z powodu choroby wrzodowej, ale potem jakoś sama przeszła. Może się te wrzody zasuszyły? Okazuje się jednak, że dieta pani Zofii jest przemyślana i nieprzypadkowa. Podstawą śniadania są płatki owsiane, z wieczora zalane wrzątkiem, z dobrze rozmieszonym



i podgrzany kefirem. Taka potrawa jest wzbogacana zmielonymi ziarenkami słonecznika, dyni, orzechów, potłuczonym czosnkiem, rodzynekami, figami, innymi owocami. Krótko mówiąc, mikroelementy, pierwiastki śladowe niezbędne dla organizmu ludzkiego, które polecał kiedyś śp. prof. Julian Aleksandrowicz z Krakowa. Należy tak jeść, by się nie zapuszczać i nie tyć. Człowiek je, żeby żyć, a nie żyje po to, by jeść... Nadmiar ciała to sojusznik nadciśnienia i chorób serca. Pani Zofia poleca też miód wszędzie tam, gdzie da się go stosować. Najlepiej zamiast cukru. Jedzenie to nie wszystko. Pani Zofia chodzi codziennie z ulicy Władysława IV w Gdyni, gdzie mieszka, na bulwar nadmorski. W obie strony to ponad 3 km. - Kiedyś chodziłam dwa razy dziennie, ale po setce zrobiłam się trochę leniwa – wyjaśnia z charakterystycznym dla siebie poczuciem humoru. Uśmiecha się przez całą rozmowę, widać, że cieszy ją nasza obecność. W pewnym momencie zdradza nam swoją słabość: – Bardzo lubię opowiadać kawały. Mogę jeden powiedzieć do kamery? Starsza pani idzie przez przejście dla pieszych, ale trochę zbacza z pasów. „Na zebry, babciu, na zebry!”, woła policjant. „Sam sobie idź na zebry. Ja mam emeryturę”...

### Do zobaczenia w Sulęcynie

Wychodzimy od pani Zofii w nastroju refleksyjnym, ale duchowo bardzo podbudowani i spokojniejsi niż zwykle. Spoglądam na Krzysztofa i bez słów przekazujemy sobie to, o czym obydwaj myślimy: to były szczególnie piękne trzy godziny w naszej ipeenowskiej pracy. Przed wyjściem umówiłem się z panią Zofią na walca angielskiego. Najlepiej w Sulęcynie na Kaszubach, bo tam pani Zofia czuje się najlepiej. I ma tam przyjaciół. Kocha Kaszubów za ich religijność, stałość w przyjaźni, przywiązanie do swej kultury, ale też przywiązanie do Polski i do tradycyjnych wartości. Ona jest z Mazowsza, gdzie o Kaszubach ludzie wiedzą mało i zamiast wiedzy posługują się stereotypami o pół-Polakach, pół-Niemcach. Kaszubi rewanżują się za to, nazywając warszawiaków i Mazowszan „ruskami”... Ale ona zna jednych i drugich. Jednych i drugich ceni, stereotypy odrzuca. Więć wie, co mówi. Pokochała rodzinne Mazowsze i skrwawioną powstańcą Warszawę, a Kaszuby poznała od podstaw jako osoba dorosła i pokochała. Piękna nasza Polska cała.

### Niepewne urodziny...

Pani Zofia nie ma pewności, co do oficjalnej daty swych urodzin, zapisanej w odpisie metryki... Co do roku wątpliwości nie ma. 1907. Ale co do dnia? Na Mazowszu, zwłaszcza w jej pokoleniu, imieniny były najważniejszym dniem w roku, znacznie ważniejszym niż urodziny. To był dzień Patrona (Patronki). W przypadku pani Zofii te imieniny mogą być też urodzinami (byłaby więc starsza o 3 miesiące), choć co do tego też nie ma całkowitej pewności. W metryce napisano 11 sierpnia, ale według przekazu matki, w dniu urodzin Zosi kwitły jabłonie... Prawdopodobnie

Zosia „przyniosła” sobie imię – jak to było w polskim zwyczaju. 15 maja jabłonie jeszcze kwitną, w sierpniu na pewno nie...



Zofia Romanowska w dniu swoich 104 urodzin – 11 sierpnia 2011 r. Foto autor.

### Dąb Antoniego w Gdyni

Zofia Romanowska jest bardzo szczęśliwa jako długoletnia gdynianka, że kiedy już jej nie będzie, pozostanie w Gdyni pamięć po Antonim. 16 kwietnia 2010 r. w Zespole Szkół Nr 10 w Gdyni (SP Nr 42 i Gimnazjum Nr 15), przy ulicy Leopolda Staffa na Karwinach, posadzono – w ramach ogólnopolskiego programu Katyń – ocalić od zapomnienia dąb pamięci, poświęcony aspirantowi Policji Państwowej Antoniemu Romanowskiemu. To duży zespół szkół, poza Antonim upamiętniono w ten sposób także ppłk. Wojciecha Mikiewicza i por. Henryka Szymskiego. Rano tego dnia odbyła się Msza święta w kościele św. Jadwigi (Karwiny I) – w intencji wymienionych oficerów i wszystkich zamordowanych w ramach zbrodni katyńskiej, potem w szkole prezentacja wyróżnionych dębami postaci. Zofia Romanowska była główną bohaterką tej uroczystości. Wywołała małą sensację, przeskakując przez kupkę ziemi, gdy dochodziła do Dębu Antoniego. Miała już wtedy prawie 103 lata...

### Wojewoda pod wrażeniem

Prezydent Gdyni Wojciech Szczurek zna dobrze panią Zofię. Na setne urodziny zapowiedział się telefonicznie w jej domu z kwiatami. Ale pani Zofia – jak to ona –

od razu odpowiedziała, że po co pan prezydent ma się fatygować, na pewno ma na głowie różne ważne sprawy miasta. – Przecież ja mogę wpaść do pana na chwilę. Podobno był pod wrażeniem tej rozmowy...

Nowy wojewoda pomorski Ryszard Stachurski nie słyszał o pani Zofii. Choć gdynianin, od dawna w Gdyni nie mieszka. Kiedy mu powiedziałem o najstarszej wdowie katyńskiej, kazał sobie pewne rzeczy powtarzać dwa razy! Potem wysłał samochód po panią Zofię 12 maja 2011 r., w przeddzień Światowego Dnia Pamięci Ofiar Katynia (każdego 13 maja) i trzy dni przed imieninami Zofii. Był pod wrażeniem, dziękował mi za zwrócenie uwagi na „tak niezwykłą osobę”. Podkreślał, że nie chodzi tylko o wiek, ale o niezwykłą osobowość. Pani Zofia też była pod wrażeniem, bo takie bukiety kwiatów widywała wcześniej tylko w filharmonii...

\* \* \*

Zofia Romanowska – ze swą historią życia i niezwykłą osobowością, jest prawdziwym skarbem Gdyni. Najwyższa pora, by zrealizować film dokumentalny o Niej i o jej zamordowanym przed 72 lata Mężu, który – jak wynika z relacji Zofii – był także pod każdym względem człowiekiem nieprzeciętnym. Znana dokumentalistka z Warszawy, Alina Czerniakowska, przygotowała konspekt filmu *Cały wiek w jednym życiu*. Zwrócono się z prośbą o finansowanie do SKOK-u, ale znana w całym kraju instytucja finansowa, sponsorująca różne przedsięwzięcia filmowe, nie wyraziła zainteresowania filmem. Trwają poszukiwania innego sponsora.

Śp. Antoni Romanowski (25.06.1902-04.1940) był śledczym Policji Państwowej w Radomiu, wysoko wykwalifikowanym policjantem po Wyższej Szkole Policyjnej i po studiach prawniczych na wileńskim USB. Wcześniej uczestniczył w wojnie z bolszewikami, dosłużył się stopnia oficerskiego w Wojsku Polskim. Zmobilizowany w roku 1939, trafił do sowieckiej niewoli, do obozu specjalnego NKWD w Ostaszkowie. Zamordowany wraz z innymi polskimi policjantami w mrocznych piwnicach siedziby NKWD w Twerze, pochowany na cmentarzystku w Miednoje.